Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 4. Poznań, dnia 27. Stycznia. 1840.

Literatura zagraniczna.

Du crédit et de la circulation,
par Auguste Cieszkowski.
Paris, chez Treuttel et Wurtz, 1839.

Warunkiem naturalnego i społecznego bytu człowieka na ziemi jest własność. Świat cały, i wszystko, co w nim i na nim, do niego należy; na księżyce i planety, gdyby do nich dojść mógł, kładłby swoje prawa własności. Już niemowlę, jakby instynktem znało to uprawnienie swoje, sięga po wszystko, co zoczy, jak po swoją własność. Gdyby też sam jeden był człowiek na téj ziemi, byłby jéj panem nieograniczonym. Alić pojrzał w okół siebie i ujrzał miliony podobnych sobie istót z równemi do téj saméj własności prawami. Stan natury musiał się zamienić na społeczny. Trzeba było nabywać własności i powstało miano, majątek, kapitał, przymiot, w socyalném pożyciu ludzi z sobą, nie dający się oderwać od bytu człowieczego. Człowiek bez kapitału w społeczeństwie jest zerem, kapitały tylko są liczbami. Pieniądz stokroć silniejszy od wszystkich silni parowych, od wszystkich dźwigni mechanicznych, obraca i popycha całą machinę społeczną, w któréj tyle kół, ile narodów, tyle zębów w każdym kole, ile mieszkańców w każdym kraju. Zysk, oto hasło i odzew wszystkich, od dzikiego Kamczadala począwszy, aż do przemysłem celującego Anglika. Wymiana kapitałów go przynosi. Wymieniają się zaś kapitały czystą zamianą płodów. Jest to środek najprostszy, ale i najniedogodniejszy, używany tylko jeszcze u dzikich koczujących plemion. Zrobiono postęp nieskończony, gdy wynaleziono została jedna wartość zamienna na wszystkie rodzaje płodów. Najdoskonalszą taką wartością jest pieniądz. Kapitały zabłysły połyskiem złota i srebra, nabrały ruchu, trwałości, stały się miarą wszelakich innych kapitałów, złożonych w zdolnościach, pracy i własnościach człowieka. Ale z przepełnianiem się ludności, ze wzrostem potrzeb i zbytku, i przy wzmagającéj się coraz żądzy zysku i mienia, nie starczyło szlachetnego kruszczu. Trzeba było nad nowym przemyśliwać środkiem zamiennym, i — czemuby wieki dawne wiary nigdy nie dały — wprowadzono wartość zamienną bez wartości, pieniądz urojony, papierowy. Nie dosyć na tém: czego z drogiego metalu zrobić nie można było, zrobiono z papieru lichego wartu, nadano mu życie, produkcyą. Papiery przychód przynoszą, każdy rad na nie gotówkę swoją zamienia, spekuluje, zarabia, nic nie pracując. Pieniądze wydać trzeba, połączyć je z pracą, z zabiegiem, aby się wróciły z zyskiem; papier w skrzyni spoczywa i zysk niesie. Kredyt jest tą czarowną siłą, co papierowi nadał lepszą wartość od złota i srebra. Na téj wysokości stoi dzisiejsza cyrkulacya wartości zamiennych. Zdaje się, że to najwyższy już szczebel finansowego przemysłu, że nic lepszego, doskonalszego wyrobić już nie można; a przecież, według autora pisma na wstępie przytoczonego, jest to dopiero niemowlęce kredytu życie. Rośnie ono na młodziana nowym jego pomysłem, projektem ku utworzeniu doskonalszéj wartości obiegowéj, niżeli są dotychczasowe papiery i pieniądze; ku zaprowadzeniu nowego, wyższego kredytowego systemu w kurs zamienny. Dla takiéj to interesowności i wagi przedmiotu podajemy w rozciąglejszéj treści myśl pana Cieszkowskiego, kładąc uwagi nasze w przypiskach.

Kredyt*) rozumiano i brano dotąd w bardzo ograniczoném znaczeniu, czystego zaciągania długu na zasoby

*) Surowiecki w dziele swojém *»O upadku przemysłu i miast w Polsce«* używa zamiast wyrazu kredyt, wyraz powierstwo. W pismach nieco dawniejszych politycznych ekonomistów naszych: Strojnowskiego Hieronima, Gliszczyńskiego Antoniego, Jana Znoski, napotykamy wszędzie użyty wyraz kredyt, powszechnie i późniéj przyjęty. Zresztą zanadto mało pisano u nas w téj materyi, a nowo wprowadzone wyrazy, choć może i dobrze, utrzeć się jeszcze nie mogły. Co zaś głębszego i oryginalnego pojawiło się w literaturze ekonomii politycznéj, pisaném było po francuzku. Dowodem tego p. Cieszkowski a i p. Skarbek, piszący od niechcenia romanse po polsku, a rzecz o bogactwach narodowych z powołania wypracowaną, w języku francuzkim.

przyszłości. Kredyt więc narodu lub rządu wyczerpujący dziś przez pożyczkę kapitały, które dopiero przyszłe pokolenia mają spłacać, jest pod tym względem najokropniejszém nadużyciem, spełniającém się jedynie dl' tego bezkarnie, że przyszła potomność, na którą się ten ciężar zwala, nie może przeciw temu protestować. Ale takie pojęcie kredytu jest za niskie i dla tego fałszywe; a wypływające z tak fałszywego pojęcia skutki dla tego tak okropne. Kredyt jest raczéj przemianą kapitałów stałych i zawartych, na kapitały płynne i wyzwolone. Za pomocą kredytu puszczają się wartości w obieg, któreby inaczéj leżały martwe i nieużyteczne. Mnożenie zaś zysku, a ztąd wzrost bogactwa krajowego, li tylko z obiegu kapitałów powstaje. Gdyby więc wszystko, co jest kapitałem nieobiegowym, dało się zamienić na kapitał obiegowy, ruszoneby tym sposobem były wszystkie fundusze kraju ku podniesieniu przemysłu i zarobku.

Z takiego pojęcia kredytu wypada naprzód, że nie ma kredytu bez kapitału, bo kredyt kapitału nie tworzy, ale jedynie, co było zagrzęsłe, wyzwala, co nieruchome, bez pożytku, w ruch i zysk wprowadza; powtóre, że kredyt podnosi dochody kraju, jest produkujący. Systemy kredytowe wychodziły też początkowo z téj zasady. Oddaliły się od niéj, gdy zbytnia chęć zysku skierowała kredyt od bitego traktu, wprowadziła na bezdróża, i dopiero teraz, po doznanych już wielokrotnych ztąd stratach, usiłują go zwrócić, zkąd wyszedł. — Banki składowe czyli depozytowe są oną pierwszą instytucyą kredytową, surową prawda jeszcze, ale pewną, nienarażającą na bankructwo.*) Kredyt najściśléj tu przywiązany do kapitału materyalnego, złożonego w depozycie. Depozytaryusz każdy ma kredyt otwarty na wysokość deponowanéj summy, ale nie wyżéj; kredyt ustaje, gdy summa ta w księdze bankowéj staje się równa zeru. Rzecz widoczna, że kredyt takowy tylko jest bierny, żadnego przychodu nie dający, dogodny dla pewnego miejsca i pewnéj liczby osób, nie wychodzący po za księgi depozytowe, nie okrążający obszernego pola pieniężnych działań.

Wexel już o wiele wyższe zajmuje stanowisko; wzniósł się doń przez rzeczywiste zruchomienie kapitału. Temu tylko dają na wexel, kogo jest na czém patrzeć. Jest to zatém rzeczywiście, kursująca część kapitału dłużnika na wysokość summy wexlowéj. Wexel nie ogranicza się ni miejscem, ni osobą; może być przepisany na kogobądź (indossowany), przyjmowany w spłacaniu summ, spłacany przed czasem za odciągnieniem procentów (dyskontowany.) Wexel, będąc tylko przyrzeczeniem wypłaty, a nie rzeczywistym przekazem na kapitał pewny złożony, opiera się już na zabezpieczeniu moralném. Tu poraz pierwszy rzetelność dłużnika wchodzi w rachubę wierzyciela. Instytucya wexlowa polega przeto na niezawodném uiszczeniu długu w czasie na wexlu oznaczonym; i dla tego wspartą być musiała jak najsurowszym i jak najskorszym wymiarem sprawiedliwości, w razie niezapłacenia wexlu. Wierzycielowi wolno tu ścigać dłużnika na wszystkim majątku jego i na własnéj jego osobie.*)

Z instytucyi wexlowéj powstały banki cyrkulacyjne. Bilety bankowe są to wexle, tylko że nie na prywatną osobę, ale na korporacyą wystawione, obiegające po wszystkich kantorach, giełdach, targach handlowych. Kredyt tu do najwyższego stopnia z-idealizowany. Korporacya, to jest dłużnik, jest osobą moralną, i prawie wiadomą jest rzeczą, że summa wystawionych wexli przenosi fundusze rezerwowe banku. Kredyt więc ostać się jedynie może wyższą jeszcze punktualnością wypłaty, niżeli przy wexlach. Kiedy zatém wexle spłacają się dopiero po pewnym przeciągu czasu, bilety bankowe płacone bywają za pokazem (à vue), aby wierzyciel każdéj chwili był pewien kapitału swojego, i każdéj chwili mógł go odebrać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Ustępy z poematu »Pan i chłop.«

. . . .

Pani powiła syna w białym dworze:
Syna powiła w chacie komornica;
A ból był równy, choć tam z puchu łoże,
A tu garść słomy.

*) Łączą się kupcy pewnego handlowego miasta, i tworzą bank depozytowy, który dobremi pieniędzmi krajowemi i zagranicznemi, oraz sztabami złota i srebra napełniają, każdy wedle swojéj możności, i razem w sporządzonéj tym końcem księdze zapisują, jaka jest każdego cząstka w takim składowym banku. Odtąd wzajemne między nimi opłaty dzieją się za pomocą kilku słów, to jest ujęciem jednemu w księdze bankowéj téj summy, która się drugiemu dodała. Zob. *Żnoskę nauka ekonomii polit. podług Smitha. Wilno* 1811. str. 77. i nast.

*) Prawo wexlowe polskie, które zresztą jest i musi być takie, jak i innych narodów podała ustawa sejmu z roku 1775. Czytamy tam w końcu: »Obligacya wexlowa rozciąga się na wszystkich dobrach ruchomych i nieruchomych, ziemskich, miejskich, emfiteutycznych, summach pieniężnych, dochodach dożywotnich lub doczesnych, pensyach, i samych nawet osobach dłużników, na których proces formowany, are-

Przyszlego dziedzica
Skąpano w mleku w rąbki owinięto,
A w dworze huczno, jak na wielkie święto:
Państwu pociecha! — krewni, przyjaciele
Z serca winszują; ojciec jezuita
Losy infanta z gwiazd, jak z książki czyta,
I obiecuje: infułę w kościele,
Krzeslo w Senacie i zaszczytów wiele.

Tam, pod zwaloną strzechą, też stworzone
Na podobieństwo i na obraz boski:
Nie wymodlone, ani wyposzczone
Dziecie, przyjęla baba z téjże wioski
Przyjął wiatr mroźnym po izbie wydmuchem;
Grabierz, co poszla z ostatnim kożuchem;
I powitała krwawa łza matczyna
Horoskop nędzy i niewoli syna.

Na chrzciny w dworzec zjeżdżają z daleka
Kumy, kumowie, sami dygnitarze:
I walna rada kto z kim trzyma w parze? —
Jakie dać imie? wielkiego człowieka
Niech nosi miano; n. p. Cezara,
Lub inne rzymskie; ztąd sławy bez miara,
Jakićj niedadzą wszystkie kalendarze.
Po dlugich sporach z księdzem kapelanem
Cezar-Augustus stanęło nareszcie;
Wszak i Król Polski panuje z tém mianem,
I w rodzie August był przed laty dwieście.
I ceremonija odbyla się w sali —
Bo ksiądz uprzejmy, a czas taki chłodny;
Więc ciepłą wodą zmył grzech pierworodny;
Panowie złotem tacę zasypali
Dla organisty, ksiądz nigdy nie bierze,
Z panami tylko uściskał się szczerze.
Potém wszedł węgrzyn z opleśniałą głową;
Zdrowie przyszlego Hetmana, Kanclerza.
Na tę pamiątkę beczkę wina nową
W lochy wpuszczono, i bito z moździerza.

Mróz był trzaskący z wiatrem — a w babińcu
Niewiasta widać niedawno z pologu —
Bladość jéj w trupim objawia się sińcu —
Trzymala dziecię. Dziad z babą u progu
Stali dygocąc — to chrzestni rodzice.
Coś księdzu na nos siadło — bąknął stary —
Że nas tu mrozi — przecież jalowicę
Wziął od was za chrzest? — ostatnią! westchnęła,
Ale ksiądz dobry spuścił dwa talary. . . .
I znów od zimna rozmowa się ścięła.
Czekali długo. . . . Otoż i dobrodziej
W dostatnim futrze i komży przychodzi.

Otworzył brewijaż, o imie zagaba:
Bartek, jak ojcu — rzeknie dziad i baba.
Chrzcęć Bartlomiejem! — strumień wody chłodny
Z chłopskiego dziecka zmył grzech pierworodny,
A może gasił zarzewie co tlało
Czuciem wrodzoném. . . .

Ja byłem tą małą
Dziecina; ojcam stradał w przeszłe lato,
Napijał, wilcy zjadły go w boru.
Grunt ciągły został; wdowie dał Pan za to
Pustkę, i zagon grochu pół wozu;
Dziedzic nielubił gdy poddani głodni.
(Glodem już puchła ze starą macierzą,
Nieraz, nietysiąc, slyszałem to od niéj.)
Wszystką też sprzężaj, i wozy i plugi,
Jedno ksiądz zabrał, drugie żyd za długi,
Resztę do dworu zajęto grabieża.
Dopust był Boży . . . za winy, i czyje?
Że pił nieboszczyk? toć umarł, niepije —
Może dawniejsze? próżnobyś dochodził:
Chłop się do biedy i płaczu narodził,
Mówi ksiądz pleban — Pan, aby używać;
Cierp, a po śmierci możesz się spodziewać! . . .
Jakby już tyle łez krwi niewycieklo,
Żeby wykupił z grzechów samo pieklo?! . . .
. . . .
»Przez tydzień tylko ssałeś moje mleko,
(Słowa méj matki) przyszedł hajduk z dwora,
By iść na mamkę, bo dziedziczka chora
Karmić niemoże. Choć ten czas daleko,
I pany zmarli, i pamięć zwietrzała,
Pamiętam: siłą wywlekli mię z chaty,
Hajduk na plecy wziął odziew i szmaty,
A ja od płaczu mdlała i padała
Przez całą drogę, a ciebiem tuliła,
Żeby i Boska niewydarła siła.
Wydarli przecież! przyszedłszy przed pana:
Czyś oszalała moja ty kochana?
Ofuknie — z głodu zdechłabyś u siebie,
A tuć okryją, jeść i pić, jak w niebie,
Tylko bądź dobra. — Dziecie, moje dziecie!
Mój syn! wołałam — ja matka, ja wdowa!
Oddajcie! — klękam, chwytam za kolana,
Wyciągam ręce. — Diabeł w téj kobiecie!
Pan tupnął nogą — tak chcę, ani słowa.
Twój syn niezginie, stara go wychowa;
Ma przecie krowę? — Ach Panie! jalowa! —
Hej podstarości, wybrać krowę dojną
Na mamkę dziecku, a ty bądź spokojną. — —
Dobrze nakazać, dusza nie posłucha,
I w sobie płacze jak synogarlica,
Ani ją pańskie łakocie rozrucha,
Ni sznur korali. Co chcesz rób, tęsknica
Chodzi za tobą podrażnia wspomnieniem;
A dziecko pańskie cięży ci kamieniem,
Aż ci żal piersi, że ją smokce cudze,
A twoje może gdzie z głodu usycha,
Że musisz tulić, że ci się uśmiecha.

szta zakładane i exekucye sprowadzane być mogą, tak dalece, że wolno kredytorowi poszukiwać satisfakcyi, na którejkolwiek z tych rzeczy, albo i na osobie dłużnika, i chociażby dłużnik miał obszerne majętności, wolno go na summach pieniężnych, albo na mobiliach patrzeć, które w długu wexlowym prawnie odebrane być mogą.«

To też śród nocy ukradkiem się budzę.
Słucham: śpią wszyscy, a lampa się pali;
Zadmuchnę lampę, i daléj i daléj
Przez okno, sady, przez zaspy i płoty,
Boso, w koszuli, do ciebie mój złoty,
Przybiegam, piersi wezbrane przytulam
Do ustek twoich, nakarmię, zalulam.
I tak bywało ledwie nieco nocy.
Ale mię dworscy wypatrzyli smocy,
Przed Jéjmość sprawa poszła na języku,
Że gacha chowam. Co biedy! co krzyku!
Rózgi zrobiono, miano siec, lecz przecie
Przyszedł im rozum, że ja karmię dziecię,
Że mój ból w dziecko z mlekiem się przeleje;
I darowali.«
Teraz dalsze dzieje.
Sam już opowiem, odkąd w pamięć młodą
Zaczął się człowiek wyciskać z przygodą,
A serce płakać, — bo dziwnym udziałem,
Nierozróżniając co czarném, co białém,
Czułem że płakać trzeba — i płakałem. —
. . . .

W Grudniu 1839.	*Lucian Siemieński*

O filozofii przedmiotowéj.
(Ciąg dalszy.)

Taki system podoba się i przypada do zmysłowego pojęcia, bo się na zmysłach opiera. Chwycił go się Kondyllak, przybrał w powabniejszą jeszcze, lżejszą, jakby gazową szatę, przez którą nagość grzeczna przezierała, i zaprowadził do Francyi, zkąd i u nas szerzyć się począł. Płytkość téj zmysłowéj filozofii (sensualizmu) lubo wyposażonéj przez Lokkego ogromnym geniuszu i wiadomości skarbem, okazał dowodnie Berklej, biskup irlandzki; a i za życia jeszcze autora liczni powstali przeciwnicy, pomiędzy nimi Leibnitz w Niemczech, a nawet i przyjaciel Lokka Shaftesbury. Pomijamy ich głębsze z systemów ich filozofii wyprowadzone wywody, pisząc do ogólniejszego zrozumienia, i po prostu nad rzeczą się zastanowimy.

Każdy Empiryzm pokonywa się swoją własną bronią, wikła i pląta, skoro tylko przypuszcza myślenie; czyli to ono tylko będzie bierne, jak u Lokka, czy czynne, uogólniające wrażenia zmysłowe, jak w innych systematach realnych, z doświadczenia wychodzących. A na samprzód owa realność, czy rzeczywistość zewnętrznych świata postaci, co ma być jedynym przewodnikiem rozumowań i badań ludzkich, skoro ją poznawamy i obejmujemy myślą, całe nie jest zewnętrznego lecz wewnętrznego przymiotu. Wyobrażenia — to przypuszczają Empiryści — stanowią wiedzę. Wyobrażenia ciał są daléj wyrobkiem albo myśli, albo na myśli, według zewnętrznych przez zmysły wpływów. W obu razach nie znamy ciał tak, jak są w naturze, tylko tak, jak się w umyśle naszym tworzą lub odbijają. Odsyłane zmysłami wrażenia na umysł, co do ciał objętości, kształtu, farby, materyalności, tworzą tam jedność, obraz, kopią ciała uważanego; która to kopia w umyśle, o tyle tylko będzie zgodną z oryginałem w naturze, o ile dokładne są zmysły nasze i o ile wszystkie przymioty ciała niemi odgadliśmy. Dusza pod tym względem nie jest więc Daguerotypem, na którym się postać zewnętrzna ciała, z zupełną oryginału dokładnością, promieńmi słońca odcienia i utrwala; ale jest na wzór malarskiéj rękodzielni myśli, która oddaje obrazy zewnętrznych postaci, mniéj więcéj do nich podobne, stósownie do mniejszéj lub większéj doskonałości narzędzi zmysłowych i objęcia. I tylko o takim świecie wie człowiek, a nie o świecie natury. Po za nim leży i nie dla niego, owo całe piękne oblicze przyrody; nie zna jéj, ani się pokusić może, aby ją kiedykolwiek poznał, pojrzał jéj twarz w twarz, oko w oko. On tylko znać może jéj obrazy, na siatce ócz — i to jeszcze, jak optyka naucza — w odwrotnéj malujące się postawie; zna i znać może tylko skutki ciał własności, jakie wywierają na smak powonienie i dotykanie, ale same własności poznać, nie jest w jego mocy. Jeżeli zaś skutki za przyczyny bierze, fałszywe robi wnioski. Świat jego jest przeto całkiem inny od świata rzeczywistego, jest tego tu złą tylko kopią przez myśl wyobrażoną; — a gdzie dowód, że u każdego człowieka tą samą? Idąc w konsekwencyi, człowiek sam siebie nie zna przedsobowo; nie wie o sobie, a jednak jest sobą. Do takiego zatém rozbratu z tém wszystkiem, co rzeczywiścieje zewnątrz nas, do takiego skeptycznego zwątpienia, do téj niemocy ducha, prowadzi ścisłe przeprowadzenie tak nazwanéj filozofii realnéj, czy empirycznéj; co, wyzuwając się z myśli odrębnéj, niezawisłéj, jako z bezużytecznéj próżni, wyzuwa się, nie wiedząc o tém, z saméj rzeczywistości. Nie dla nas więc Empiryzm Lokka, a i dla tego już nawet, że o półtora stulecia w tył pojęć filozoficznych nas cofa.

Bako z odleglejszéj jeszcze dali wieków do nas przegląda. Filozofia jego atoli, lubo empiryczna, ma wyłączny dla siebie charakter, co jéj wartość aż do naszych czasów przenosi. Kilka rysów tego systemu wyjaśni nasze twierdzenie. Co już w połowie piętnastego wieku nasz Grzegorz z Sanoka o filozofii scholastycznéj wyrzekł, nazywając ją marzeniem czuwających,*) to samo w przekonaniu kanclerza królowéj Elżbiety, o

*) Czacki o litewsk. i polsk. prawach II. 270.

przeszło wiek później, odbiło się. W rzeczy saméj scholastycy owych czasów, nie podnosząc Arystotelesowych zasad do wyższych pojęć, ale mając je za najdoskonalsze, które im tylko objaśniać wolno było, uwikłali się w same metafizyczne subtelności z zaniechaniem nauk przyrodzonych, które przecież były podstawą ontologii filozofa ze Stagiry. Alchemia, astrologia i kabały zajęły miejsce rozsądnych śledzeń w fizyce i astronomii. W téj to epoce ogólnéj zamgły w krainie ducha i natury, powstał Bako, geniusz, jakich mało świat wydaje; poczuł własne siły i ćmę oną światłem rozumu swojego rozeprzeć przedsięwziął. Przywykły do działań w rozległéj sferze praktycznego życia, ku téj stronie skierował całą umysłu usilność; zostawił zamgłę, na filozofii zawisłą, zamgłą i tylko w naukach przyrodzonych jaśniejące przez nią światło przejrzał. Jego nieukończona Instauratio magna może miała na celu sięgnąć z fizyki do filozofii, ale na zbyt olbrzymi rozmiar rzucone były tego dzieła fundamenta, życie wielkiego architekta zaledwie wystarczyło na wykończenie owéj budowy przedsionku. Na samym więc stanął do systemu swojego wstępie, i wskazał nim naprzód rozkład nauk przyrodzonych, powtóre, jak do ich pojmowania przystępować. To drugie jest metoda tłumaczenia natury, którą nam tak pięknym językiem i z taką obszerną rzeczy wiadomością p. Wiszniewski wyłożył. Nie zamierzył więc sobie Bako filozofii pisać, »ostrzegam,« mówi wyraźnie, »że nie piszę o logice albo filozofii«, lecz zbadać nauki przyrodzone. Ale że chciał dociec, jak przyrodę pojmować należy, musiał mimowolnie napisać rzecz filozoficzną, zapuścić się w myśl samą i z niéj, a nie z doświadczenia rozwinąć metodę swoją, bo uczyć, jak się ma doświadczać, nie jest doświadczeniem, ale filozofią. Jego novum organon jest przeto rozumowaniem nad doświadczeniem, któreby nazwać można experimentologią, albo w tém tylko ograniczoném do treści znaczeniu, filozofią experimentalną*) Bako istotną napisał logikę, według któréj prawideł tłómaczyć naturę należy. On jest Kantem nauk przyrodzonych; jak tamten myśl myślącą, tak on myśl doświadczającą pod krytykę podciągnął, całą potęgą rozumu w nią się wpatrzył, i dla tego tak ogromnéj w naukach przyrodzonych reformy stał się wskrzesicielem. Pod tym względem jako twórcy logiki experymentalnéj, którą dopiero Szelling do spekulacyjnéj doskonałości podniósł, przeważna była Bakona aż do naszych czasów powaga. Że dziś już upada, przyznaje sam uczony jego metody komentator, kiedy mówi (str. 139.): »im więcéj praw powszechnych w filozofii naturalnéj poznano, tém rzadziéj zdarza się potrzeba użycia całkowicie metody Bakona, która właśnie na śledzenie prawd tego rodzaju najwięcéj jest wyrachowana.« Jeżeli więc jako filozoficzna propedeutyka do nauk przyrodzonych może mieć dla nas korzystne znaczenie, nie ma go całkiem jako filozofia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Nie w tém znaczeniu użył téj nazwy szanowny autor wykładu metody Bakona, który i fizykę filozofią nazywa. Lecz jeżeli ta umiejętność ma na celu rozświetlać najistotniejsze prawdy w sferze ducha, pojmować myśl, duszę i Boga, czy to od zmysłów, czy od pomysłów badania swoje rozpoczyna, któż tam o experymentach pomyśli? Będziesz nauka o machinach filozofią, a barometra, pyrometra i t. p. będąż narzędziami filozoficznémi?

Bądźcie prostodusznymi, jako gołębice, a chytrymi, jako węże.

Powieść *Gustawa Ehrenberga.* *)

»A ja jednak upieram się przy tem, że wolę kota, niż psa.« — »A pfe! takie chytre zwierzę!« — »Właśnie dla tego go lubię. Pies jest podły; za kawałek chleba przedaje nam całe swoje istnienie. Kot jest nierównie szlachetniejszy; musi nam ulegać, bo jest słabszy, — ale ulega tylko pozornie. Niech się tylko zdarzy sposobna pora, a wnet się jego samodzielność obudzi, oszuka nas, opuści — i słusznie, bo nas uważa za naturalnych nieprzyjaciół swoich.« — »Jakto?« — »Tak jest. Każda istota mocniejsza jest naturalnym nieprzyjacielem słabszéj. I właśnie mi się dla tego niepodległy charakter kota bardzo podoba, tém bardziéj, że chytrość jest pierwszym warunkiem szczęścia.« — »Cóż pan mówisz? ale to jest zupełnie przewrotne zdanie.« — »Niech się pani tak bardzo nie unosi. Ja nic takiego nie mówię, czegobym dowieść nie potrafił. A więc naprzód pytam się pani, czy pani kiedy była szczęśliwą?« — »Ja? — jakto? doprawdy ..... niewiem, do czegoż zmierza to pytanie.« — »Czy pani byłaś kiedy w takim stanie, nad którybyś nic a nic nie przeczuwała lepszego?« — »Nie byłam, i sądzę, że nikt nigdy nie był w takim stanie.« — »Więc szczęścia nie ma.« — »A, to znowu!« — »Tak jest. Pani sama to przyznałaś. Szczęścia właściwie nie ma i jest tylko szczęście pozorne, czyli tak nazwane względne. Otóż my, nie mogąc dostąpić szczę-

*) Powieść ta jest pierwszą z powieści napisanych przez tego utalentowanego, szlachetnego a dziś tak nieszczęśliwego młodzieńca, którego poezye umieściliśmy w pierwszym tomie pisma naszego. Redakcya ma zamiar zatrudnić się wydaniem pism G. Ehrenberga, w celu rozpowszechnienia ich; uprasza przeto wszystkich posiadających takowe w rękopiśmie, o ich łaskawe nadesłanie. *Red. Tyg. lit.*

ścia zupełnego, staramy się przynajmniéj o względne, które wtedy tylko osiągniemy, gdy w sercu naszém połączymy niewinność z chytrością.« — »Ciekawem, co za związek ma chytrość ze szczęściem.« — »Bardzo ścisły. Szczęście bezwzględne nie wiem, gdzie jest, ale to wiem, że szczęście względne jest na ziemi. Otóż pani wiadomo, że ziemia nasza jest to amphibium kołysane między piekłem a niebem. Żeby odeprzeć pokusy piekła, trzeba znacznego zapasu niewinności, żeby się zaś oprzeć innego rodzaju marzeniom i złudzeniom zbyt idealnym, trzeba posiadać pewną dozę ironii i chytrości, co razem wzięte zapewni nam szczęście względne na ziemi. Ale ostrzegam panią, że dopiero wtedy zaczynamy być względnie szczęśliwymi, gdy poznamy, że zupełnie szczęśliwymi na żaden sposób być nie możemy.« —»O, już ja tam bardzo pięknie dziękuję za taki kawałek szczęścia. Ja chcę być zupełnie szczęśliwą.« — »Żeby panią lepiéj przekonać, przeczytam pani powieść, którą'm ułożył na poparcie mego twierdzenia.« — »Jakiż tytuł?« — »Bądźcie prostodusznymi jako gołębice, a chytrymi jako węże.« — »Bardzom ciekawa.« —

I.

(Wyjątek z listu.)

> Mąż winien obronę dla żony, a żona posłuszeństwo dla męża.
> *Kodeks cywilny, art.* 213.

Najdroższy bracie!

.... A teraz, narobiwszy tyle plotek, pozwól, że o sobie pisać będę. — Pytasz się mnie, czy jestem szczęśliwą, czy znalazłam w pożyciu małżeńskiem ową błogość, którą sobie zwykle przed zamęściem obiecujemy, i czy pod zasłoną łagodności i spokojności nie kryją się w mém sercu jakie tajemne żale zatruwające kielich życia mojego. Wielkiéj, bardzo wielkiéj żądasz ofiary; — chcesz, żeby Ci się kobieta wyspowiadała, — i to szczerze, — chcesz, żeby przed tobą, przed mężczyzną, nic a nic nie ukryła. Trudno to, zaiste, kobiecie przychodzi, — aleś ty sobie na moję szczerość od dawna zasłużył. Twoje przywiązanie ku mnie, roztropność rad Twoich nie są mi tajne, — i już od kilku lat przywykłam uważać Cię nietylko jako głowę rodziny, ale jako najszczerszego i najlepszego przyjaciela mojego. Czy jestem szczęśliwą? mamże ci powiedzieć bez ogródki? Trudno. Nie mogę wyrzec tak, nie powinnam wyrzec nie. Przynajmniéj do tego się przyznaję, iż, dopiero odkąd poszłam za mąż, poznałam, jak wielki jest rozdział między możnością a powinnością, między wolą a obowiązkiem, między skłonnością a żelaznem prawem konieczności. Bez wątpienia, że jedno z drugiem pogodzić jest dowodem wielkiéj, bardzo wielkiéj cnoty. Ale na cóżbym się użalała? Nie podzielamże losu innych kobiet? Jestżem nieszczęśliwszą od nich? Cierpieć, milczyć i być posłuszną, takie jest nasze przeznaczenie, tak chciały wasze ustawy. Mężowi wolno żonę opuścić, wolno żyć z inną, wolno mu robić, co mu się podoba, bo on rozkazuje, on jest panem. I bardzo słusznie. Wszak męszczyzni są silniejsi, mocniejsi od kobiet, a gdzie moc, tam prawo i rozum. My się poddajmy naszemu losowi bez szemrania, bo my słabsze jesteśmy, a zatém widocznie nierozsądniejsze, niezdatniejsze. A cóż, kochany bracie, czy źle rozumuję, czym nie skorzystała z Twoich nauk. Ale dajmy pokój żartom. Chcę wierzyć, że twoje serce jest czyste, że nie chcesz uważać kobiety, jako upośledzoną od natury istotę, i że, prócz Ciebie, może znajdzie się jeszcze kilku, którzy twoje zdania podzielają. Przecież, póki w dzisiejszéj społeczności żyjemy, nie mogę i nie powinnam na mój los się użalać. I w rzeczy saméj, gdybyś mnie nie był napoił innemi myślami, gdybyś mi nie był oczu otworzył, możebym dzisiaj z serca cieszyła się moim losem, i aniby mi cień żalu nie przeleciał przez serce. Z téj przyczyny dla mojéj własnéj spokojności muszę się postawić na tém stanowisku, na którém się większa liczba kobiet znajduje. Im się zdaje, że tak jest najlepiéj, jak jest dzisiaj, — szczęśliwe, bo im się ani śni o uczuciu własnéj godności. Postawiwszy się myślą w takiém położeniu, nie mogę narzekać. Męża mojego nie znasz, nie będę Ci go opisywać, jest dość pospolity exemplarz owego milionowego obrazu mężczyzny, który pije, je, trawi, — zresztą poczciwy, ani komu zajdzie w drogę, ani sobie da deptać po nogach. Chcesz przyjechać incognito — na co? — jeżeli dla lepszego poznania mego męża, to nie warto, — tak jest szczerym i prostym, że dziecko zdołałoby wywieść go w pole. — Przy nim choć jałowo, ale przynajmniéj spokojnie płynie mi życie, już'em się prawie przyzwyczaiła do niego, a nawet sądzę, że dzisiaj, gdyby jaka nowa skłonność serca obiecywała mi szczęśliwszą z kim innym przyszłość, podobnobym nie opuściła mojego poczciwego i rubasznego szlachcica. Pożycie z nim już w nałóg mi weszło. Widzisz żem szczera. — ....
....

II.

> Wprowadzili rogatki,
> Nałożyli podatki, —
> Drogi tintiuń, tabaka,
> ....—

»Kociu, duszyczko, słabo mi dzisiaj.« — »Cóż ci, serduniu?« — »Nie wiem, mdło mi jakoś, nie dobrze.«

— „Herbatki się może napijesz.“ — »Ej, nie.« — »To rumianku ci każę zrobić.« — »Wiesz dobrze, że rumianku nie lubię.« — »To się może wódki napijesz.« — Po krótkim namyśle — »Ha! wreszcie . . . napiję się.« — Sercunio napił się wódki do pięciu ran P. Jezusa, żwawo zeskoczył z łóżka, wyczubił pacholka, że mu niedobrze bóty odchędożył, ubrał się, odmówił pacierze, obejrzał dubeltówkę, wziął ją na plecy i zabrał się do wyjścia — »Mościa dobrodziejko, na godzinę dziesiątą bigos. Zagraj, do nogi!« — Stary Zagraj wydobył się z pod pieca, gdzie zapewne ostatki starych kości dogryzał, otrząsł się, parę razy ruszył ogonem i uszyma, ziewnął straszliwie i poszedł z panem, łapiąc muchy po drodze.

Sercunio miał około czterdziestu lat, wysoki, barczysty, dobréj tuszy, — włosy czarne, między któremi już się gdzie niegdzie i siwy przebijał, w oczach jaśniał wyraz rubasznéj wesołości, a nos trochę czerwony i karbunkułowaty świadczył, że jego posiadacz nie musiał być członkiem klubu wstrzemięźliwości. Jakoż sercunio, chociaż w jedzeniu pilnie przestrzegał postów i umartwień od kościoła postanowionych, nie uważał za potrzebne rozciągać tego i do napoju, tem bardziéj, że, podług niego, wódka zawsze jest z postem.

Kocia miała lat najwięcéj dwadzieścia dwa, w okolicy nazywano ją przystojną, wyćwiczony znawca piękności kobiecéj nazwał ją dziwnie ujmującą. Na pierwszy rzut oka mierność jéj wzrostu i tuszy, prawie nieznaczne zarumienienie cery, powolność mowy, pozorna obojętność wyrazu ust i oczu nadawały jéj postać dobréj gospodyni, jedynie mężem i domem zajętéj, ale ktoby się lepiéj wpatrzył w jéj długie rzęsy, w regularną linię czoła i nosa, przypominającą cudne rysy Madonny, w lekko ironiczne zagięcie ust, ktoby uważał jéj spojrzenie długie, świetne, badawcze, tenby pomyślał, że ta spokojność oblicza, albo wielki niepokój serca pokrywa, albo, po przezwyciężeniu gwałtownych namiętności, stała się obrazem prawdziwie anielskiego poświęcenia się, cichego żalu i cichéj cnoty. Kto tylko raz na nię spojrzał, nie myślał o niéj, kto jéj się dwa razy przypatrzył, nie mógł od niéj oczu oderwać.

Jeszcze stała Konstancya i z właściwym sobie spojrzeniem patrzała za odchodzącym mężem, gdy z pobliskiego pokoju dał się słyszeć śpiew z towarzyszeniem gitary:

»Kiedy ranne wstają zorze,« i t. d.

Był to głos, jak się zdaje, żeński, — środkował on między nosowym a gardłowym, a raczéj był połączeniem obu w tak dziwny sposób, że, mimo uroczystości śpiewanéj pieśni Karpińskiego, zdolniejszym był do wzbudzenia śmiechu, niż pobożnego uczucia.

Tą śpiewaczną była panna Giertruda, siostra sercunia, ośmnastoletnia dziewica, jedna z najlepszych partyi w całéj okolicy. Już blizko od roku zjeżdżali się okoliczni kawalerowie w konkury, ale afekt panny Giertrudy jeszcze się ku nikomu nie przechylił wyraźnie. Była to krótka, zwięzła, rumiana panienka, o małych oczach, dosyć dużych ustach, ale czerwonych i pulchnych jagodach, — jedném słowem, jak to mówią, tęga dziewka i jak na cyrkuł sandecki wcale nie szpetna. Zresztą wcale nie źle edukowana, uczyła się w klasztorze po francuzku, śliczne piekła ciasta i wybornie zaprawiała marynaty, dwa przymioty arcyważne w pożyciu małżeńskiem.

O dziesiątéj wrócił jegomość. Słychać go było z daleka; musiał być w dobrym humorze, bo łajał, wrzeszczał i wydawał rozkazy na wszystkie strony: — »Macieju, pójdziesz do piwnicy, otworzysz beczkę nr. 9., wytoczysz parę garcy miodu! — a nie zapomnij o węgrzynie, co to został po ś. p. nieboszczyku rodzicu moim, Panie świeć nad duszą jego,« tu odchylił rogatéj czapki. »Jakóbie, a ty hultaju, czemużeś obroku koniom nie dał, mają z głodu zdechnąć? — a od czego ja ciebie trzymam, hę?« — »Kiedy proszę pana . . . . .« — »Milcz! ośle jakiś, bo ci uszy oberwę! — Mościa dobrodziejko, Kociu, siostruniu, krzątać mi się żywo, ubrać się i wystąpić z objadem, żeby się nie powstydzić. Strzelałem kaczki z panem Paliwodą, nadybałem sąsiadów wracających z kościoła i sprosiłem mości dobrodzieju na obiadek.« — „O, mój Boże! zawsze goście!« wyrzekła Konstancya z wyrazem nieukontentowania. — »I cóż to, mościa dobrodziejko, będziemy sami siedzieli, jak krety w jamach? Toć trzeba żyć z ludźmi.« — Panna Giertruda rozśmiała się, pokazała zęby, niewiem ze skromności, czy z radości, i poszła się stroić. — Tymczasem jegomość, nim goście się zjadą, wyszedł w pole, obejrzyć roboty, nucąc sobie pod nosem znaną śpiewkę galicyjską: Wprowadzili rogatki i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Skarbiec Sieńkiewicza.*)

Tygodnik literacki objawił swoje zdanie przy wyjściu pierwszego tomu Skarbca. Zyskał powszechną wiarę, boć jest u nas niejako obyczajem wierzyć Tygodnikowi. Co w Skarbcu jest pismem z dawnych czasów, niech będzie

*) Na dowód, jak powszechne jest oburzenie przeciw dziełu temu i jego pochwale, umieszczonéj w piśmie naszém, a napisanéj przez *A. P.* i *J. Ł.*, przytaczamy tu wyjątek z listu pisanego przez jednego z najpierwszych i najszanowniejszych

święte, bo historyczne; jeżeli powstało na dobréj zasadzie, wyda jeszcze owoc, jeżeli na zléj, to już dawno obalone i spruchniałe, nie ożyje, nie porośnie. Inaczéj rzecz się ma z przedmową, objaśnieniami, rozprawą o Naruszewiczu; dobry chemik wieleby w nich znalazł trucizny. Zgoda: miejmy za nic utopie, niech tylko przeszłość będzie podstawą przyszłości. Ale w historyi chwytajmy zawsze myśl jednę, ogólną, a będzie przez to wielka, że jest zawsze ta sama i jedna. Skarbiec ma przeciwnych sobie tysiąc przyczyn i przyczynek, a ztąd tysiące widoków i widoczków. Czasy saskie nie przez elekcye, błędy monarchów, sejmy lub Radziwiłła nabrały właściwéj sobie fizyonomii, ale przez zupełne ziszczenie się idei szlacheckiéj, która wyczerpnąwszy wszystkie źródła w swoim okręgu, musiała wpaśdź w omdlenie z pragnienia. I czasy saskie nieprzeminęły bez pracy i skutku; zaczęły w ten sposób być pożyteczne budowli, jak jest zwalenie się starych murów w miejscu, w którém nowe fundamenta stanąć mają. Krotofilnie w Skarbcu brzmi ta myśl: Elekcya Stanisława Augusta była dla ojczyzny naszéj nader szczęśliwym wypadkiem. *) Nie obroni autor téj myśli, choć powie że wyrwana z rozumowania. Żeby miała niewiedzieć jakie sąsiedztwo, to tylko możnaby jéj przyznać, że stała między myślami rozumniejszemi od siebie. Kiedy podczas konfederacyi barskiéj Jędrzej Zamojski Exkanclerz wyjechał z Warszawy, domyślano się, że chce wpaśdź w ręce konfederatów i zostać ich naczelnikiem. Stanisław August pisał list do Zamojskiego, którym go straszy owym barbarzyńskim Drewiczem; dowodzi Zamojskiemu, że tam nie będzie naczelnikiem, ale figurą podrzędną pod Weslem, Krasińskimi, Potockimi. Skarbiec czyni nad tém uwagę następującą: Tak z tego listu okazuje się, iż był anonime Zamojskiemu posłany; pismo to czyni zaszczyt rozsądkowi i sercu króla Stanisława. W naszych stronach inne są pojęcia rzeczy. Może to nasza niebiegłość w dyplomacyi robi, ale myślimy, że król, co do poddanych listy anonime pisze, co ich krwi ludzkiéj niesytą, jeszcze z zagranicy sprowadzoną, straszy, co tylko z egoistycznéj strony sprawy narodu pojmuje, przynajmniéj musi mieć wielki brak rozsądku, jeźli nie jest podły.

Z tego przykładu nietrzeba wątpić, że sam czarny duch, co przodków naszych wiecowych Słowian przestraszał, mógłby przez drobny wypadek zamięszać się w takie oko ciemności, żeby go Skarbiec aniołem stróżem ogłosił. Historya w rozumowaniach tego dzieła jest tylko migającą się grą charakteru króla, wyższych urzędników i ludzi wpływu, naród zaś massą bodaj równą glinie. Mając tę zasadę znakomitéj przypadkowości, tkwi Skarbiec w przekonaniu, że rząd w każdym czasie było można przewrócić jak czapkę, a podszewka byłaby pięknym wierzchem. Jest to wielki dowód, że Skarbiec patrzy na monarchią Piastów romańskiemi lub germańskiemi, a zawsze feudalnemi oczami; myśli, że le roi, the King, der Koenig, są to samo co Król. Takci stoi w słownikach, ale inaczéj w historyi.

Cóż to za okropna zasada! że potop dziennikarstwa zgubniejsze poczynił ruiny niż napady Tatarów. *) Więc literatura rozwinięta aż w potop może się stać zgubą. Pewnie autor myśli, że należało zamianować jakiego kompilatora, krawieckiemi nożycami uzbroić, żeby rozstrzygał wielkie kwestye narodowe, które ludzkość powszechnie dopiero przez ścieranie się gieniuszów zwykła poznawać we właściwém świetle. Téj powieści o potopie dziennikarstwa nie wyrzekł żyjący, ale ją okrzyczał upior o xiężycu gdzie na drogach rozstajnych pod smętarzem, albo za jakiém miastem pod zwaloną szubienicą, upior co nienawidzi ludzkości i swoich, a człowiek pewnie nawet poczciwy, ale niemyślący mniemał, że to co dobrego i kazał drukiem ogłosić. Czemu partya Czartoryskich znienawidzona była, to Kitowicz drukowany w Poznaniu z lepszego rękopismu jak w Skarbcu, wywiódł doskonale. Stoi tam jasno, że wszystko dobre od Augusta III. i Rzeczypospolitéj w zarodzie dławiła. Były to rzeczy ślicznie obliczone. Już myśl głębsza nie tliła się, ale zarzyła w narodzie, już Konarski rozwinął był wszystko, kiedy Kanclerz litewski postrzegł, że zachwycić w rękę inicyatywę reformy, będzie to wyśmienitą spekulacyą, i może ród od dawna z Jagiełłów kłamany, nie tylko na tron się wsunie, ale wmówi w naród, że za dawnéj linii był dziedzicznym, więc za nowéj także będzie lepiéj bez elekcyi. Czemu Czartoryskich nienawidzono to wyraźne, jak jest wyraźne, iż Skarbiec, który dla nich tylko oddycha, musiał o ich przeciwniczce konfederacyi barskiéj powiedzieć: Lecz pod jéj pięknćm imieniem, pod jéj patriotyczną sławą kryły się fakcye, intrygi i po prostu rozboje.**) Zdaje się, że Skarbiec ma zamiar poprzeć dowodami głęboką rozprawę Janusza Woronicza o Dynastyi, nad którą muszą zdumiewać najbieglejsi badacze rzeczy narodowych, która pewnie dla swéj oryginalności na wszystkie europejskie języki tłumaczoną będzie! Historya powinna być nie służebnicą, ale mistrzynią:***) te święte słowa Skarbca niech wszyscy w sercu noszą, którzy chcą u niéj kapłaństwo przyjąć. Ale niech obowiązki mistrzyni pełni, bo jeźli ma tylko ten tytuł, a sprawuje urząd rajfurki u wielkich panów, wtedy zasługuje, żeby ją podług artykułów marszałkowskich w głównem mieście Rzeczypospolitéj u pręgierza miotełkami ochłostać i z miasta wyświecić.

Jęd. M.

---

uczonych naszych; mówi on: »Przegląd Wspomnień Jełowickiego otrzymały ważny w zamknięciu przypisek. Mogły i powinny były mieć podobnyż dopisek owe materyały, przez Karola Sienkiewicza zatytułowane Skarbiec dziejów. Czujemy tu, co za brednie i fałsze, że nie powiem łotrostwa, mieści w wstępnéj rozprawie swéj ów ś. p. Karól z Kalinowki. A czemuż to nie zchłostać, czemu wystawić z dobréj a tylko z dobréj strony, a tem samem zachwalać publiczności co złe i zgubne w zasadach. Myślę, że odtąd jak się sam tylko redakcyą zatrudniasz, Tygodnik zyska z téj strony i t. d.«

Przyp. Red.

*) Tom 1. stronica 163.

---

*) Tom 1. przedmowa stronnica V.

**) Tom 1. str. 167.

***) Tom 1. przedmowa str. XV.

Doniesienia literackie.

W Paryżu wyszedł pierwszy zeszyt pisma czasowego »*Revue Slave*« wydawanego przez Xawerego Bronikowskiego.

W miesiącu przeszłym wyszło z druku nowe pownożone wydanie dzieła J. Lelewela: »Panowanie Stanisława Poniatowskiego.«

Wędrówek literackich J. J. Kraszewskiego wyszedł tom drugi, zawierający: Wyjazd w drogę. Popas w Utrechcie. Ksiądz Baka S. J. Przechadzka po bibliotece. Pielgrzymka po stolicach. W najbliższych numerach pisma naszego zdamy obszerniejsze sprawozdanie z nowego dzieła tego jenialnego pisarza.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*